

OJCZE NASZ.

POWIEŚĆ

napisana przez F. J.

CHICAGO, ILL.

NAKŁADEM I DRUKIEM WŁ. DYNIEWICZA.

1886.

MS

ADAM DYNIEWICZ

OJCZE NASZ.

POWIEŚĆ

napisana przez F. P.

CHICAGO, ILL.

NAKŁADEM I DRUKIEM WŁ. DYNIEWICZA
1886.

SN

ze zbiorów

STANLEYA NAJA

I.
OJCZE NASZ, KTÓRYŚ JEST W NIE-
BIESIECH.

Nad brzegiem jeziora, które jakoby zwierciadło srebrzyste spoczywa pomiędzy zielonemi łąkami, urodzajnymi niwami, otoczonymi wieńcem lasów, położona jest piękna wieś Jaworzew. Kilka chat rybackich rozrzucone nad brzegiem jeziora, a dalej ku górze wznoszą się schludne domki gospodarzy widocznie porządkowanych i miennych, bo każdy domek w dobrym stanie, pobielany, przoduje niemniej schludnym zabudowaniom gospodarczym; tu i owdzie przed domkami widać starannie pielęgnowane ogródki z kwiatami. W pośrodku wsi wznosi się mурowany kościół, którego wieżyca, zdaje się, na straży stoi całej osady, co tak błogo spoczywa pod opiekuńczemi skrzydłami świątyni swego Boga; obok kościoła ocieniają gęste lipy piękną plebanię, za nią ciągnie się ogród i sad obszerny, przytykający aż do szerokiego stru-



mienia, a raczej małej rzeczki która od zachodniej strony przerzyna zielone łąki, i zataczając srebrzystą swą wstęgę w nieznacznym łuku okolo wsi, ginie w nurtach jeziora.

We wsi spokojnie i cicho, ale natomiast na polach i łąkach ruch wielki: ludzie spieszą się ze zwózką siana, bo upał niezwykły rychłą zapowiada burzę, a tam na zachodzie piętrzą się czarne chmury, zagrażające ulewą suchemu sianu, jeżeli czempredzej nie zostanie zwiezione.

Andrzej Marciniak pot ociera sobie z czoła. Posępnem spogląda okiem, a gniew i złość maluje się na jego twarzy.

— Że też jakby na złość ta przekłeta burza nadchodzić musi! — mruży sobie półgłosem. — Cały sprzęt mi przemoknie i zniszczeje! I ma tu człek dorobić się czego! Ano tak — muszą djabli wziąć gospodarstwo, jeżeli im Pan Bóg jeszcze dopomaga!

— Człowieku nie bluźnij! — rzekła żona, delikatna i słabowita nieco niewiasta, która pomagając mężowi, ręczo się krzątała.

— Co? — krzyknął Andrzej. — Chcesz mi kazanie prawić — ty dewotko pobożna? Jeno mi bądź cicho, boby na twoich plecach mogło zagrzmieć!

Klnąc w szalonej złości, szedł za nałado-

wanym wozem ku wsi, podczas gdy czeladź pozostała na polu, aby drugi wóz naładować.

Tymczasem już pierwsze chmury czarnym całunem roztoczyły się po niebie, wielkie padać poczęły krople deszczu i grzmot ciężki zahuczał nad lasem.

W złości opuścił Andrzej wóz i kazał parobkowi pospieszyć się z nim do domu, a sam zбочył na lewo, gdzie w końcu wsi stała karczma.

Tamdotąd zdążał zawsze, ilekroć złość go ogarniała, bo tam mógł kłąć i złorzeczyć wedle upodobania, i nikt mu nie przeszkadzał tak, jak w domu, gdzie go „dewotka,” jak swą pobożną żonę zawsze nazywał, napominała i usiłowała odwieść od obrazy Bożej.

— Wódki i piwa! — zawołał wchodząc do obszernej izby, w której oprócz szynkarza i wędrownego czeladnika nie było nikogo.

Szynkarz nałał duży kieliszek i postawił na stole, potem zabrał się do natoczenia piwa, spoglądając z niezadowoleniem na Andrzeja, w którego twarzy nic dobrego nie wyczytał.

Andrzej Marciniak był najbogatszym gospodarzem a był przytem bezdzietnym. Pycha jego i zarozumiałość nie znały granic, to też dla nikogo nie miał poszanowania; dla sług był niehumanym, dla żony okrutnym, dla biednych

nielitościwym; szydził, gdy inni się modlili; z wiary mało co mu pozostało, wierzył tylko w swój pieniądz i majątek, a przypisując go swej mądrości, chełpił się z niego aż do obrzydzenia. To też żadnego nie miał przyjaciela, nikt go nie lubił, a każdy, który nie miał potrzeby zbliżania się do niego, najchętniej go unikał.

O ile nie cierpiano Andrzeja, o tyle więcej okazywano współczucia dla młodej Andrzejowej, która onego czasu, gdy jeszcze była ubogiem dziewczęciem, bez porównania była szczęśliwą i bogatszą, aniżeli teraz, gdy przez ożenek została bogatą gospodynią, ale codziennie w łzach się rozpywała, modląc się o nawrócenie zdziczałego swego męża. Cierpiała wiele, doznawała wiele krzywd od brutalnego męża, ale wszystko to znosiła w milczeniu, bez szemrania i skargi. Najwięcej ją to bolało, że Andrzej żadnej prawie nie miał wiary, że nie dbał o kościół, że wciąż miał na ustach mowy bluźniercze i klątwy, że aż ludziom włosy powstawały na głowie.

Z początku sądziła poczciwa kobieta, że męża dobrocią i prośbami zdoła ułagodzić i zmiekczyć; teraz po roku małżeńskiego pożycia przekonana się, że nie ma innej nadziei naprawienia

męża i sposobu osłodzenia swego cierpienia, tylko przez milczenie i gorącą modlitwę.

Andrzej wychylił duszkiem kieliszek, potem przystąpił do okna, śledząc zasępionem okiem czarne chmury.

— Jesteście dziś w lichym humorze, Andrzeju, przerwał szynkarz milczenie. — Co się to stało?

— Nic, — była krótka odpowiedź.

— To ważny powód, aby się złościć i gryść w duszy! — żartował gospodarz, wychodząc z izby.

Coraz większe gromadziły się chmury na niebie; wielki wicher wyl przeraźliwie, pędząc przed sobą pieniące się bałwany jeziora; raz poraz jasna błyskawica czarne rozdarła chmury i znowu złowroga panowała ciemność.

Na wieży kościelnej uderzono we dzwony. Andrzej na głos się rozśmiał.

— Głupie dzwonienie! — rzekł szyderczo. — Pewnie pioruny ustraszą się kościelnego i organisty, i spalą się na panewce!

Tak drwił sobie Andrzej, ale nie pamiętał o tem, że podczas gdy dzwony wzywały lud do modlitwy, klęczał pleban w kościele u stóp ołtarza, a w każdym domu korne zanoszono modły przed tron Najwyższego.

Coraz gęstsze migotały błyskawice, oświe-
tlające ponury krajobraz żółtem swem, białem
i niebieskiem światłem: grzmot huczał coraz
gwałtowniej, a wicher z szaloną wściekłością
miotał deszcz rześisty na pola, niszcząc całą na-
dzieję sprzętu.

— Co to za dobrodziejstwo dla naszego ży-
ta i pszenicy! — drwił sobie Andrzej. — A mi-
mo to będzie pleban prawie głupim ludziom, jakto
im: Pan Bóg błogosławił, że większy mają sprzęt,
aniżeli na to zasłużyli — — głupstwo! Jak gdy-
by każdy z nas uczciwie, rzetelnie nie pracował!
Tak — orzemy, siejemy, mozolimy się i niedo-
śpimy, połowę naszej pracy zniszczą burze, a re-
sztką, co zostanie, ma jeszcze być darem Bożym,
za który powinniśmy dziękować!

Dwie łamane smugi jaskrawego światła roz-
pruły po sobie chmury i uderzyło w jezioro:
przeraźliwy huk zabrzmiał zaraz potem.

— Prześliczna muzyka! mruknął Andrzej,
odszedł od okna i usiadł przy nalanym kufelku:
popił i zamyślił się, wsparłszy głowę na rękach.

Wtem nagle zaiskrzyło się w izbie, jak gdy-
by całe niebo było w płomieniach: W tej sa-
mej chwili odezwał się huk piorunu zdawający
wstrząsać całą ziemię w swych posiadach — po-
tem nastąpiła cisza.

— Dostało się komuś! — szepnął Andrzej,
nie ruszając się z miejsca.

Naraz ktoś pędził ulicą, uderzając w okno
w prawo i w lewo i krzycząc na całe gardło:

— Gore! Gore!

— Gdzie gore?

— U Marciniaka! Piorun trzasł w chałupę
i cały dach jej zajęty!

Andrzej opadł bezwładnie na stole.

— U mnie! — jęknął drżącym głosem. —
Czemu właśnie u mnie?

Zaraz jednakże zapanował nad sobą: pod-
skoczył i pięść wyciągając ku niebu, zaryknął
przeraźliwie:

— Dobrze więc! Jeżeli mój folwark się pa-
li, przez całe życie ust nie otworzę do pacierza!
Przysięgam to uroczyście!

Wywrócił kufel z piwem, i jak waryat wy-
biegł z gościńca. Im więcej zbliżał się do domu,
tem więcej drżały pod nim nogi. Widział już
jak jasny płomień, otoczony kłębamii gęstego
dymu, unosił się nad jego zabudowaniami.

Na miejscu nieszczęścia wielkie było za-
mieszanie. Bydło z wielkim mozołem wypro-
wadzone z ognia, ryczało przeraźliwie i koniecz-
nie nawracało się do palących się stajni. Da-

chy były już pastwą płomieni, nawet z okien płomień tu i owdzie już buchnął.

— Moje pieniądze! — krzyknął Andrzej, odepchnął od siebie żonę, że się potoczyła i padła na ziemię, i wpadł do palącego się domu.

Po małej chwili powrócił okopcony, trzymając napełniony trzos w ręku. Następnie usiadł na kamieniu i patrzył spokojnie, jak człowiek pozbawiony zmysłów, w płomienie, które pochłaniały jego dobytek. O nic się nie troszczył, ani nawet o biedną swą żonę, która ostatecznie znużona i wycieńczona, padła obok niego jak nieżywa.

On zaś patrzył to na ogień, to na trzos swój, podobny do nierozumnej małpy, tulącej do siebie młode swe szczenię.

Wreszcie nad ranem zagaśł ogień.

— Mój Andrzeju, — szepnęła nieszczęśliwa kobieta, — Pan Bóg nas ciężko nawiedził, ale trzeba z pokorą poddać się Jego woli. Zresztą zasłużyliśmy na to. Ty nie tyle, ile ja! Tylko się zaraz nie gniewaj! Będę pracować, jak sługa, będę oszczędzać, a da Bóg, niezadługo znowu pod własnym będziemy dachem. Ale będziemy też prosić Pana Boga, aby nam pobłogosławił i wszystko się naprawi!

Andrzej odwrócił się gniewnie.

— Czego chcesz? — mruknął przez zęby. — Patrz chałupy nasze spalone, tylko popiół i gruz z nich zostały — wszystko djabli wzięli! Ale jeżeli myślisz, że się upokorzę i będę wdychać, jęczyć i modlić się tak jak ty, to grubo się mylisz! Pal djabli całe zabudowanie i graty; ja nie mam szkody — jestem zaasekurowany!"

II.

ŚWIĘĆ SIĘ IMIĘ TWOJE.

Tak jest, Marciniak był zaasekurowany!
W kilkanaście dni po pożarze wypłacił mu agent Towarzystwa Zabezpieczenia dziesięć tysięcy talarów w assygnacyach.

— Masz tu nawiedzenie Boże! — bluźnił Andrzej, rzucając przed żoną pieniądze na stół. — Dziesięć tysięcy talarów! Teraz staną budynki trwalsze i piękniejsze, a na nich zaprowadzę kunduktory, że im pioruny nie zaszkodzą. Zobaczymy potem, kto panem w moim domu Pan Bóg czy też ja!

Andrzejowa nie zdołała odpowiedzieć! Na bluźniercze słowa męża, ból ścisnął jej serce i dreszcz ją przejął zimny. Teraz począł Marciniak robić plany.

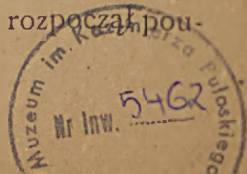
Przekonał się, że będąc najmajętniejszym we wsi, a przytem mędrszym od wszystkich gospodarzy, którzy ślepo wierzyli w to co im

księża prawili, powinien też we wszystkim innym od nich się wyróżnić. Wszakże i inni wielcy panowie też tego co on usposobienia i dla tego zaliczają ich do inteligencji, — czemużby i on należący do tej inteligencji, nie miał odpowiednio żyć i odpowiednio mieszkać? Zamiast folwarku więc powinien stanąć pałacyk i budynki gospodarcze prawdziwie pańskie. Prawda — na to było pieniędzy zamalo, ale czyż to nie można ich pożyczyć? A przecież na to są długi aby je robić!

Tak rozumował Marciniak. Ale trzeba mu słuszość oddać, że te marzenia o pałacu i państwie były tylko pokusą; prawda dość silną, ale w chwilach zimnej rozwagi uznawał, że to rzecz nieco za trudna.

Budować jednakże musiał; trzeba więc było wiele interesów załatwiać, z budowniczym porozumiewać się co do planów, w sądzie starać się o konsens itp. Bywał więc często w mieście a tam pilnie zaglądał też do restauracyi na pokrzepienie znużonego ciała; nie chodził zaś do szynkowni lub pokątnej oberży, tylko do restauracyi, boć przecież nie należał do ciemnych wieśniaków, tylko do „inteligencji.”

Razu pewnego przysiadł się do Andrzeja w restauracyi pewien jegomość i rozpoczął pou-



fałą z nim gawędkę o gospodarstwie i stosunkach naszych społecznych. Z początku Andrzej nie bardzo był rad temu towarzystwu, bo owe-
mu panu jakoś źle z oczu patrzyło, ale gdy ten zaczął prawić zupełnie w myśl jego, że tylko rozumem można w świecie coś zrobić, że dopóki się nie wyswobodzimy z pod opieki popów, którzy lud utrzymują w ciemności i tamują postęp i oświatę, nie będzie dobrze na świecie, uważał Andrzej, że to człowiek wcale nie głupi, zwłaszcza że go tytułował: „panie Marciniak” i „łaskawy panie.” Wreszcie ów jegomość zażył butelki wina, a przy kieliszku żwawiej potoczyła się rozmowa, przyczem Andrzej swoje także wygłaszał zasady, nad czem ów obcy niezmiernie się unosił i bez ogródki oświadczył, że takich znakomitych i rozumnych „obywateli, jak pan Marciniak, potrzeba nam więcej, a wtenczas wnet zbawimy Polskę, bo ani popy jej nie zbawią swemi modlitwami i morałami, ani szlachta i panowie swoją pychą i złem gospodarstwem!”

Marciniak był w siódmym niebie.

— A pan czym jesteś? — zapytał.

— Jestem komisjonerem.

— Co? co? komisarzem?

— Nie, komisjonerem, to jest: agentem.

— Aha, agentem — agentem — — to niby

pan agentem — — to pewnie jaka fabryka, albo co?

— Nie, ja mam agenturę, to znaczy, że przymennie każdy może zrobić czego mu potrzeba: albo się zabezpieczyć, albo sprowadzić towary, albo co kupić, lub sprzedać, albo też pieniądze pożyczyć.

— Ho, ho! A gdybym ja też potrzebował?

— Miałbyś pan je zaraz. A ilebyś pan chciał?

— Ośm do dziesięciu tysięcy talarów!

Agent rozśmiał się z lekceważeniem.

— Nie więcej?

— A czy pan ma tyle pieniędzy? — zapytał zdziwiony Andrzej.

— Ja nie mam, ale jeżeli pan chcesz, możesz mieć w przeciągu tygodnia piętnaście tysięcy.

Andrzej się zamyślił. Pokusa znowu się zjawiała — za tyle pieniędzy razem ze swojemi, mógłby już paradny wybudować dom, stodoły, stajnie i obory; ale na co bez potrzeby tyle długów robić, szeptała mu rozważa, i płacić procenta? Pycha jednakże zwyciężyła.

— A jaki procent mam płacić — zapytał.

— Cztery — tyle ile zawsze biorę.

Agent wymówił te słowa z tak dziwnym przyciskiem że Andrzej podejrzliwie na niego spojrzął; ale ten wyjął cygaro, zapalił i puszcza-

jąc gęste kłęby dymu, najniewinniej w świecie spoglądał.

— No, jakże? Masz pan ochotę? — zapytał. — Bo ja nie lubię, aby mi pieniądz pleśniał.

Andrzej zgodził się.

Po ośmiu dniach odebrał Andrzej pieniądze, piętnaście tysięcy talarów, a nieco później był w sądzie, gdzie mu wręczono odpis dokumentu hipotecznego, gdyż cały dług został na jego gruncie zahipotekowany.

— Mój Marciniaku, — zauważył sędzia; — ta pożyczka was zrukuje!

— Zdaje się panu sędziemu, — odparł Andrzej opryskliwie; — ja wiem, co robię!

— Ale czterdzieści i ośm procent, to trochę za wiele!

— Co? co? — Przecież ja po cztery procent pożyczyłem! — zawołał Andrzej przerażony.

— Tak jest, cztery procent na miesiąc, to na rok uczyni czterdzieści i ośm procent — tak stoi wyraźnie w obligacyi.

— Ale ja tego nie czytałem, nie słyszałem! narzekał Andrzej. — Ten układ nie ważny!

Sędzia wzdygnął ramionami.

— Czemuście obligacyą lekkomyślnie podpisali? Ja wam teraz pomódz nie mogę. Ma-

my najbezcześniejszych lichwiarzy, w ręce jednego z nich dostaliście się.

Mocno zafrasowany powrócił Andrzej do domu. Długo nie mógł się uspokoić, ale wreszcie pycha i lekkomyślność zwyciężyły.

— Już ja sobie dam radę, pocieszał się i rozpoczął budowę swego pałacu, a dla większej oszczędności i przyspieszenia budowy, sam najął mularzy i robotników, i pilnował ich, plan tylko i główne kierownictwo zostawił budowniczemu; a ci robotnicy i mularze, byli to po największej części ludzie obcy i włóczęgi, którzy się ze świata przywlekli.

W sobotę pierwszego tygodnia wypłacał robotnikom i rzekł:

— Jutro przyjdziecie także do roboty! Ja nie mogę w niedzielę świętować, bo na zimę dom musi być gotowy i wyschnięty!

I rzeczywiście w niedzielę z rana przybyli mularze i pracowali, jak w dni poprzednie.

Można sobie wyobrazić, jakie zgorszenie i oburzenie było we wsi! Andrzejowa blisko godzinę całą błagała i zaklinała męża, aby nie dawał takiego zgorszenia, wszystkich używała środków, aby odwieść go od tego grzesznego przedsięwzięcia, ale wszystko daremnie — Andrzej odpowiedział błźnierstwami i poniewierką.

Po nabożeństwie przybył proboszcz, przedkładał i przemawiał po przyjacielsku, napominał po ojcowsku, Andrzej słuchał zachmurzony. Potem zacisnął pięście w kieszeniach i patrząc hardo na proboszcza, odezwał się:

— Bóg zapłać jegomości za kazanie! Ale niepotrzebnie się jegomość fatygował. Ja mam swój rozum i robię tak, jak mnie się podoba; a jeżeli jegomość na to patrzeć nie może, to niech jegomość nie patrzy — ja jegomości nie proszę aby tu przychodził, lepiej tam pilnować swego kościoła! Jeżeli zaś robię co złego, to mię zaskarżcie!

To rzekłszy odwrócił się i odszedł.

Biedna Andrzejowa nie śmiała nawet patrzeć na ludzi, gdy w niedzielę szła do kościoła, a naraz musiała usłyszeć tego rodzaju uwagi sąsiadów nad postępowaniem męża, że jej się serce krwawiło. Najlżej jej było, gdy się szczerze pomodliła i pokryjomu wyplakała; wtenczas zdawało się jej, że ciężar spadł z serca, i że jeszcze wszystko się naprawi.

Gdy nadeszła jesień, stanął zanadto obszerny i niestósowny dom mieszkalny — pałac w wyobrażeniu Andrzeja, oraz budynku gospodarcze. Andrzejowa chciała, aby ksiądz proboszcz mieszkanie i zabudowanie poświęcił, ale Andrzej

oparł się temu, wyrzekając, że nie potrzebuje ani proboszcza, ani jego błogosławieństwa; bez tego on sobie da radę, bo rozum i praca, to więcej znaczy, jak modlitwa i święcona woda.

Miał więc teraz Andrzej czego pragnąć; miał pałac i bardzo porządne zabudowania, ale mimo to nie czuł się szczęśliwym, bo gdy wieczorem zasiadł za stołem i zaczął medytować i kalkulować, to zawsze przychodził do tego przekonania, że ta cała parada nie jest właściwie jego własnością, że nie wygospodarzy tyle, chociażby się na głowę postawił, aby mógł rocznie 7200 talarów procentów zapłacić, a życie, czeladź, inwentarz, potrzeby domu i gospodarstwa? Wtenczas ćmiło się mu w oczach; pozostało mu jednakże jeszcze około 2000 talarów, a że śpichlerz, stodoły i stajnie dobrze były zaopatrzone, więc myślał, że to jakoś pójdzie. Trzeba mu też było przyznać, że do karczmy wcale nie chodził, że pilnie pracował od rzytlego rana aż do późnej nocy i żył nadzwyczaj oszczędnie.

Ale to wszystko nic nie pomogło; oszczędność przyszła po czasie. Interesa Andrzeja pogarszały się z dnia na dzień, a procenta zjadły ostatni grosz krwawo zapracowany.

Gdy Andrzej znudzony pracą, smutny i przy-

gnębiony siedział wieczorem w domu, starała się Andrzejowa dodać mu otuchy i pociechy, ale gdy o Bogu wspomniała, to padał Andrzej w zwykłe swe rozdrażnienie.

— Nie baj mi głupstw! — odpowiadał zwykle. — Jeżeli sumienna praca mię nie postawi na nogi, to już chyba niewiem rady. A pracuję gorzej od robaka.

— Mój Andrzeju, — mówiła mu raz na to żona. — Pan Bóg twej pracy nie błogosławi. Budowałeś z grzechem, bo dla łakomstwa bezcześciłeś niedziele i święta, i myślisz, że jeszcze błogosławieństwa za to wszystko spodziewać się powinieneś od Boga? Ty nie mówisz pacierza, ani się nie modlisz — czy myślisz, że mi się serce nie krwawi, gdy widzę, że żyjesz jak poganin? W największe święta nawet nie chodzisz do kościoła! I dziwisz się jeszcze, że nam się coraz gorzej powodzi? Mężu, pamiętaj; nawróć się do Boga, bo inaczej na stare lata pójdziemy z torbami, albo też gmina da nam przytułek w szpitalu!

Ta mowa dogryzała go do żywego, poskoczył z krzesła i pięścią uderzył w stół.

— Co? Z torbami pójść mamy? wrzasnął. — Ha, ha, tak jeszcze źle nie jest z nami! Chyba jeszcze co innego na mnie spadnie, zanim

do ludzi rękę wyciągnę! Patrz na moje ręce, te zapracować muszą to, czego potrzeba, one nas muszą postawić na nogi!

— Bez modlitwy najsilniejsza ręka ludzka nic nie zdoła zrobić, gdzie niema błogosławieństwa Boskiego, tam wszelka praca daremna, odpowiedziała Andrzejowa, ale Marciniak tych słów uż nie słyszał, bo wyszedł natychmiast na dwór, aby urwać niemiłą rozmowę.

III.

„PRZYJDŹ KRÓLESTWO TWOJE.”

Ostra zima ścięła jezioro i pokryła je twar-
dą skorupą lodu. U gałęzi ogołoconych drzew
wisały połyskujące kryształy, z dachów zwie-
szały się olbrzymie bryły lodowe.

Było to około Bożego Narodzenia.

W tylnej izbie u Marciniaka paliła się świe-
ca i słabe rzucała światło na śniegiem zasłane
podwórze.

Andrzejowa złożona była chorobą; obok łó-
żka stała kołyska, a w izbie rozlegał się krzyk
pierwszego dziecka Andrzeja, chwackiego chłó-
paka.

Radość z tego powodu wielkiej w Andrzeju
dokonała zmiany. Godzinami całymi siedział
przy kołysce dziecka, i bez szemrania czuwał
nawet nocami całymi przy łożu chorej żony,
chociaż znużony i strudzony był po mozolnej
całodziennej pracy.

Tak dalece nawet się zmienił, że codziennie
z rana i wieczora wyjmował chłopca z łóże-
czka i zanosił go matce, aby go przeżegnała święco-
ną wodą, sam jednakże nigdy tego nie czynił.

— Teraz zupełnie co innego, — mawiał do
swych znajomych; — teraz człek przynajmniej
wie, na co i dla kogo pracuje! A jaki to tęg-
i, zdrowy chłopak, a wrzeszczy, że aż w całym
domu się rozlega!

Ale to szczęście wcale nie było stałe, bo
po takich chwilach radosnego upojenia, stawał
się Andrzej osowiałym i smutnym, i chodził ze
zwieszoną głową, mocno zafrasowany. Przyczy-
na tego była, że procenta, przypadające na św.
Michał nie były zapłacone, a jeden list po dru-
gim nadchodził, domagający się zapłaty. Z po-
czątku listy były dość grzeczne, następnie sta-
wały się coraz gwałtowniejsze i groźniejsze.

Andrzej łamał sobie głowę, jak tylko mógł
aby wynaleść drogę wyjścia, na którejby zna-
lazł pieniądze, ale daremnie.

Był wprawdzie ktoś, któryby mu był mógł
pomóc: miał grosza dużo, a serca jeszcze wię-
cej; ale właśnie do tego nie chciał Andrzej się
udać, bo tym był nie kto inny, tylko ksiądz
proboszcz.

Andrzejowa widziała to dobrze, że męża

wielkie cisną troski; ale ilekroć go prosiła, aby jej się ze wszystkim zwierzył, odbierała zawsze odpowiedź, że nic mu nie jest, że ma ból głowy, albo duszność, że to wnet przeminie.

Gdy jednakże listowy znowu przyniósł list, w którym było coś o skardze sądowej, zwątpił Andrzej zupełnie.

Ksiądz proboszcz odwiedzał codziennie chorą Andrzeją; nie uszła jego bacności oswoiłość Andrzeja, i dobrze wiedział, co było tego przyczyną.

Pewnego dnia — a było to krótko przed świętami Bożego Narodzenia — spotkał proboszcz, odchodząc od chorej, Andrzeja w sieni domu. Andrzej uklonił się i chciał się kolo proboszcza przemknąć, ale ten zastąpił mu drogę.

— Andrzej, co wam jest?

Marciniak przestraszył się widocznie.

— Mnie? Mnie nic! — odpowiedział z gorączkowym pospiechem, czuł przytem dobrze, że twarz się rumieńcem oblewa.

Proboszcz badawczo w twarz mu spoglądał.

— Ile pieniędzy potrzebujecie? — zapytał po chwili.

— Bóg zapłać jegomości, nie potrzebuję pieniędzy. Dobrze mi się powodzi...

Tchu mu zabrakło.

— Jeżeli tak, to dobrze, rzekł proboszcz obojętnie, — omyliłem się. Byłbym wam był pomógł, i to chętnie.

To powiedziawszy zwrócił się proboszcz ku drzwiom.

Chwilę jeszcze walczył Andrzej z pychą, potem obiema rękami uchwycił rękę proboszcza.

— Ratuj mię jegomości!

Wieczorem tego samego dnia siedzieli obaj w pomieszkaniu proboszcza. Przed Andrzejem leżała wiązka pieniędzy papierowych.

— Jaki procent mam opłacać? — zapytał Andrzej nieśmiało.

— Procentu nie żądam.

— Ależ księżę proboszczu...

— Jeno się nie sprzeciwiajcie i weźcie pieniądze! Ja z was zysku ciągnąć nie chcę, ale pragnę, aby te pieniądze wam zysk przyniosły, i to zysk podwójny: dla majątku i dla duszy waszej. Powiedzieliście mi raz, że jeżeli mi się nie podobą, iż mularzom w niedziele każecie pracować, mam was u sądu zaskarżyć. Tego nie zrobiłem, ale natomiast zaskarżyłem was przed Panem Bogiem dla zgorszenia, jakie daliście całej parafii. Nie modliłem się o to, aby was Pan Bóg ukarał, ale aby złamał waszą pychę. Zapomnieliście o Bogu, przestaliście się modlić, i dla tego też

Pan Bóg was opuścił i popadacie w niedostatek i nędzę. Myśleliście, że błogosławieństwo Boże nie jest wam potrzebne, że pilność i praca zastąpi wszystko; nie chodzicie do kościoła i pokazujecie upór i złość w obec Boga dla tego, że was karze za pychę i bezbożność; nie chcecie temu wierzyć, że pycha i bezsilna złość zginie, jak dym w obec nawiedzenia Bożego. Pan Bóg dał wam syna, nie zapomniał o was zupełnie — idźcie więc i pokażcie się godnym tej łaski! Zaczynajcie znowu wiernie Bogu służyć, nie opuszczajcie modlitwy i nabożeństwa, a błogosławieństwo Boże znowu spocznie na waszej pracy!

Proboszcz mówił z zapałem, i zadowolony, że mógł też raz do serca zatwardziałego przemówić, spoglądał zwilżonem okiem na Andrzeja, który zwiesił głowę, i patrzył zasępiony i chmurny.

Wreszcie wstał i wyprostował się dumnie.

— Niech sobie jegomość zatrzyma swoje pieniądze, — rzekł zimno, odsuwając pieniądze od siebie. — Myślał pewnie jegomość, że za pieniądze pozwolę się wyburzczyć i wykrzyzczyć jak dzieciak! Nie, księżu proboszczu! Rozejdźmy się tak, jak się zeszliliśmy: jegomość zatrzyma swoje pieniądze i swoje kazania i nauki, a ja pozostanę tem, czem byłem.

Proboszcz z razu osłupiał, Andrzej zaś wlepił w niego wzrok zajadły i ciągnął dalej:

— Nie doczeka się jegomość, abym za głupie kilkaset talarów poszedł pomiędzy stare baby i z niemi klepał pacierze. Nie, księżu proboszczu! Wolę ja ujadać się z żydami i lichwiarzami, wolę pracować, że aż mi kości trzeszczeć będą, aniżeli być pobożnisiem i obłudnikiem. Bóg zapłać, dobra noc!

Z trzaskiem zawarły się drzwi za Andrzejem.

Wiatr mroźny dął od jeziora, i rzucał płaty śniegu w twarz rozpaloną Andrzeja, który nie zważając na to, wolnym krokiem szedł naprzód i udał się do karczmy.

— Dobrze, że przychodzicie, — rzekł mu gościnnie, — tam w alkierzu czeka ktoś na was, jakiś waspan z miasta.

Marciniaka złe ogarnęło przeczucie; przerażony spojrzął na gościnnego i z drżącym sercem wszedł do alkierza.

Tam ujrzał znanego sobie agenta, siedzącego przy stole nad gazetą.

Andrzej czuł, że mu nogi wypowiadają posłuszeństwo, gdy ujrzał przed sobą wierzyciela; wnet jednakże zapanował nad sobą i z wymuszonym uśmiechem na ustach zasiadł przy stole naprzeciw niemu.

— Pan tu niezawodnie masz interesa we wsi? — zapytał, nie wiedząc, od czego rozpocząć.

Agent odłożył spokojnie gazetę.

— A tak, tak, interesa, — odrzekł sucho.

— Przybyłem tu dotąd po zaległe procenta od pewnego gospodarza, — znacie go zapewne? — bo wszystkie napomnienia były dotychczas bezskuteczne.

Andrzejowi zimny pot wystąpił na czoło.

— Nie podobna mi w żaden sposób teraz się zdobyć na zapłatę, — rzekł z westchnieniem i składając ręce błagalnie.

Agent wzruszył ramionami.

— Wiecie, że pożyczone pieniądze nie były moją własnością, tylko żyda, któremu te same prawie procenta opłacać muszę. Jeżeli mi nie zapłacicie, nie będę też mógł zapłacić żydowi; wtenczas on wypowie kapitał, a że wy nie macie grosza, więc gospodarstwo pójdzie na subhastę i żyd je nabędzie za pół ceny. To jest prosty obrachunek, którego się trzymać winicie.

— Okropnie! — jęknął Andrzej, który już na to nie zważał, że agent go ani „panem” nie tytułował, ani też nie był tak grzecznym, jak dawniej. — Ale, — zawołał rozdrażniony, —

przy takich bezwstydnym procentach, jakie opłacam, muszę się zrujnować! Czy to po chrześcijaństwie, tak ludzi marnować?

— Agent uśmiechnął się złośliwie i poklepał go po ramieniu.

— Marciniaku, ja myślę, że ani ty, ani ja nie potrzebujemy pytać się o to, co po chrześcijaństwie — my się w chrześcijaństwo, sumienność, pobożność i tym podobne rzeczy nie bawimy, wiesz przecie! Interes jest interesem. Zrobiliśmy interes, tyś zgodził się na te procenta, więc też musisz je „zapłacić!”

— Nie prawda! — krzyknął Andrzej, — ja nawet nie wiedziałem o tych bezczelnych procentach!

— Przedłożyłem ci wszystko czarno na białym, — odrzekł agent groźnie. — Jeśliś był za głupi, albo za leniwy, aby przeczytać obligacyą, to w takim razie twoja wina. Podpisałeś i basta!

Andrzej się zamyślił, podczas gdy dręczyciel jego sięgnął po gazetę. W myślach przebiegał się do swego zadłużonego domu, do łóżka chorej żony, do dziecka, ztamtąd do proboszcza, którego pomoc tak brutalnie odepchnął. Nie powinieneś być tak szorskim dla proboszcza, mówiło mu sumienie. Ale teraz czasu nie było

do żalu, co się stało odstać się nie mogło.

— Niewiem sobie rady! — przerwał wreszcie milczenie, patrząc z ropaczą na agenta.

— Ja wiem, — odrzekł tenże, — jest jeszcze dla ciebie ratunek! Nasamprzód wyniesiesz swój bór, a jest on najpiękniejszy i największy z całej okolicy; ja ci kupca sprowadzę na drzewo, a wtenczas nie tylko będziesz mógł zapłacić zaległe procenta, ale zatrzymasz jeszcze tyle pieniędzy, że dalej będziesz mógł dla swej kieszeni operować. Będziesz mógł wykupywać gospodarstwa, rozparcelujesz każde, sprzedasz małe parcele łatwo, a to wcale intratny interes.

— Co? — wrzasnął Andrzej, — mój pyszny bór mam wyciąć i w paszczy lichwiarzy utopić, a potem jeszcze marnować gospodarstwa, zostać pijawką niedoświadczonych ludzi i całej okolicy przekleństwo ściągnąć na siebie?

— Tak, albo też podać swe gospodarstwo na subhastę, — uzupełnił agent obojętnie.

IV.

BĄDŹ WOLA TWOJA, JAK W NIEBIE TAK I NA ZIEMI.

— Dokąd to, panie Odrzyskórski?

To pytanie skierował gościnny, stojący przed karczmą, do Andrzeja Marciniaka, który pewnego rana przechodził w odświeżnym ubraniu.

— Jeno wy stulcie waszą gębę, — mruknął Andrzej, — bo ja dłużej tych przezwisk znosić nie myślę!

— Tak, a my to mamy znosić i cierpliwie na to patrzeć, jak ludziom pożyczacie pieniądze za lichwiarskim procentem, potem wykupujecie ich gospodarstwa, rozdrabniacie na nędzne małe parcelki, sprzedajecie je rozmaitym przybłodom, którzy potem staną się ciężarem dla gminy, która ich będzie musiała żywić, gdy im ich kawaleczek gruntu nie da utrzymania i pójdą z torbami! Dla pana Odrzyskórskiego naturalnie dobry to interes: kupuje gospodarstwa bez pienię-

dzy, płaci je lasami, które wycina i przez to niszczy grunta całej okolicy, sprzedaje łatwo małe parcelki, a kupcom z góry zakłada stryżek naszyję, i aby sam wypłynąć na wierzch, zapełnia wieś darmozjadami i żebrakami, którzy ostatecznie wykierują się na złodziejów i podpalaczy. Ale my na was już znaleźliśmy lekarstwo: już nikt od was grosza nie pożyczy, nikt wam garści ziemi nie sprzeda — przysięgliśmy sobie. Teraz wiecie o tem, panie Odrzyskórski, i możecie za wczasu innego chwycić się procederu!

Rozdrażniony sędzi Marciniak dalej do miasta, gdzie w sądzie miał termin.

Agent miał rację: Andrzej wyciął i sprzedał bór, następnie wykupił z ręcznie kilka gospodarstw, rozparcelował, sprzedał liście parcelki za dobre pieniądze, i tem o tyle się dźwignął, że nie tylko bieżące procenta mógł opłacać, ale nawet umorzył już część długu i spłacił nieco kapitału. Ale mimo to wszystko, majątkowe jego stosunki wcale się nie polepszały; podczas bowiem gdy się zajmował szacherką, i włóczył się po miastach i po sądach, zaniedbywał gospodarstwo, i co z jednej strony chwilowo zarabiał, to z drugiej strony stałe tracił. Andrzejowa nie przyszła jeszcze zupełnie do zdrowia, wciąż tak była słabą, że z łóżka rzadko tylko na

krótki czas wstawać mogła; całe więc gospodarstwo pozostawało na łasce sług. Gdyby to jeszcze było, tak jak za czasów nieboszczyka ojca Andrzeja, u którego czeladź się zestarzała, każdy sługa był uważany za członka rodziny, kochał swego pana, jak własnego ojca, i dbał o dobro jego, jak o własne mienie, nie byłby miał Andrzej strachy, ale tak się nie działo; Andrzej godząc sługi, nie patrzył na cnotę i religijność, ale na to, aby mu jak najtaniej pracowali, więc najmował obleciswiatów obojga płci, którzy się tanio godzili. Małemi zadawalniali się zasługami, ale zato pracowali na szkodę pana dla własnej korzyści — próżniactwo i kradzież sług niesłychanie prędko rujnowała dobytek Andrzeja. Ten zdybał czasem tego lub owego z czeladzi na próżniactwie, i lenistwie; wtenczas korzystał z pierwszego lepszego włóczęgi, który mu się nawinął i przyjmował go w miejsce tego, którego odprawił, ale to rzeczy nie naprawiło: służba ustawicznie się zmieniała, dom Andrzeja istnym był gołębnikiem, do którego jedni zdążali a drudzy z niego wylatywali, a próżniactwo, zaniedbywanie gospodarstwa i kradzieże dalszym szły trybem. Urodzaje były liście, bydło marniało i padało, sprzęty się psuły, a gdy Andrzej w wolnych chwilach swych szachrajskich zajęć, zajrzał do gospodarstwa

darstwa i widział nieład i szkody, gdy mu do żywego dobodły nieskończone rachunki kowala, stelmacha, rymarza, cieśli i mularza, wtenczas rozpoczynał hałas, łąjał, fukał i groził, a rozpasana i bezczelna czeladź postawiła się hardo i groziła, że wszyscy razem natychmiast sobie pójdą — w takich przypadkach spuszczał Andrzej z tonu i musiał dawać jeszcze dobre słowa, aby tylko zostali, a dopiero w mieście postarał się o nowe we sługi, nie lepsze od pierwszych.

Było to już po żniwach; sprzęty były zwieziane, a chłodna i wilgotna nadeszła jesień. Andrzejowa coraz była słabszą, a lekarz nie robił żadnych nadziei, bo suchoty w najwyższym stopniu były już rozwinięte. Wreszcie i chłopczyk zachorował na koklusz, a wśród gwałtownego kaszlu krew mu się rzucała ustami i nosem.

Nie długo męczyło się dziecko; w dzień Wszystkich Świętych wyniesiono je w małym trumieniec na cmentarz. Gdy trumnę spuszczano do grobu, ból gwałtowny przeszył serce Andrzeja — zadrżał jakoby we febrze, a łza zwiędła płonące jego oko. Zebrani nad grobem odmawiali głośno Ojczy nasz, ale Andrzej konwulsyjnie usta zacisnął; tylko gdy zabrzmiało słowo „Bądź wola Twoja, jako w niebie tak

i na ziemi!” otworzył nagle usta, jak gdyby temu kornemu poddaniu się woli Bożej chciał się sprzeciwić, ale wnet znowu usta zacisnął i trwał w hardem milczeniu.

Śmierć dziecka boleśnie zraniła serce Andrzeja i ustawicznie wskazywała mu tę chwilę, w której i z żoną się będzie musiał rozłączyć, i wtenczas na Bożym świecie pozostanie samotnym, chodził jak błędny, zamyślony i obojętny na wszystko, czasem wezbrana w sercu gorycz wybuchała gniewem namiętym, to znowu gdy był sam na sam, wspominał imię syna, płakał jak dziecko, i narzekał na nieszczęście, które go ściga.

Gdy nie mógł znaleźć spokoju dla serca zbolełego, wchodził do izby, w której chora leżała żona, i siadał przy jej łożu. To było jeszcze jedyne miejsce na całym szerokim świecie, gdzie czuł nieco ulgi i spokój odzyskiwał.

Andrzejowa nie mogła już wiele mówić, bo oddech był zbyt słaby i krótki, a z wycieńczonej piersi inny już prawie głos nie wychodził, tylko głuchy kaszel, po którym zawsze śmiertelne następowało znużenie.

Tak tedy nie zdołała wiele do niego mówić słowami, ale tylko zwiędłą swą dłoń kładła na jego rękę i przemawiała do niego wy-

mownym wzrokiem, który u suchotników powo-
li gasnących jaśnieje pozagrobowym duchowym
blaskiem.

— Wszystko poszło inaczej, jak sobie wy-
stawiałem, — rzekł pewnego wieczora Andrzej,
gdy żonie podał lekarstwo i poprawił jej podu-
szki pod głową. — Myślałem, że będę bogatym
i największe w całej okolicy mieć będę znacze-
nie a tymczasem gospodarstwo zmarnowane
a każda cegiełka, każda dachówka zadłużona i bie-
da i nędza zaglądają drzwiami i oknami. Myśla-
łem, że będę szczęśliwym z żoną i dziećmi, a tu
jedno po drugim mi umiera, i ja sam pozostaję
jak pień odarty z liści i gałęzi, skazany na
uschnięcie! Kobieto! — zawołał namiętnie,
jeżeli ten jeszcze cios mnie spotka, że ciebie wy-
niosą na cmentarz, natenczas niedbam o życie.
Bo cóż mi pozostanie jeszcze na świecie? Ma-
ję się troszczyć, mozolić i sił resztę stargać, abym
drudzy tuczili się owocem krwawej mej pracy,
a dla mnie nigdzie nie ma być pociechy, chociaż
by najmniejszej? Ach, jestem blizkim rozpacz-
y. A jak mię, Odrzyskórskiego, wszyscy nienaw-
dzą, — ciągnął dalej przytłumionym głosem
— jak mną gardzą i na mnie zwalają winę wszy-
stkiego złego, które się we wsi zagnieździło! Pa-
kami mię wytykają, schodzą mi z drogi, przekle-

nają mnie! Kobieto, tylko pamięć na ciebie wstrzy-
mywała mię, że takiemu szyderycy tą oto pię-
ścią czaszki nie zgruchotałem. Ale, — mruknął
groźnie, — jeszcze przyjdzie czas odwetu!

Andrzejowa spojrzała na niego błagająco,
i wskazała ręką ku niebu, aby tam szukał po-
ciechy i lekarstwa na rany serca; ale on potrząsł
głową — o tem nic nie chciał wiedzieć. Raz
przy takiej sposobności posunął się nawet tak
daleko, że zawołał, iż z Panem Bogiem już się
skwitował i nie dba o Niego, bo tylko Pan
Bóg był winien całemu jego nieszczęściu, które
od owego pierunu, co cały jego folwark w pe-
rzynę zamienił, wzięło swój początek! —

W noc noworoczną umarła Andrzejowa.

— Wola Boża! — były ostatnie jej słowa,
potem zamknęła oczy na zawsze, i przestało bić
to serce szlachetne, które dawno już pękało
z żalu.

Przez całą noc klęczał Andrzej u łoża zmar-
łej; krzyczał płakał i narzekał, ale modlitwy nie
miał na ustach.

Nazajutrz przyszli sąsiedzi i przez cały dzień
schodzili się ludzie, aby się pomodlić za duszę
tej zacnej kobiety, a Andrzej zamknął się w swej
komorze i przez cały dzień się nie pokazał.

Nad grobem przemówił ksiądz proboszcz

od serca. Wziąwszy za temat ostatnie słowa nieboszczycy: „Wola Boża!” wykazał, jak to w tem kornem poddaniu się woli Bożej nieskończone szczęście dla człowieka zawarte. Tylko gdy człowiek z tem się zgadza, co Bóg chce i jak Bóg chce, może mieć nadzieję, że bez gorczy i rozpaczy i czystem sumieniem przejdzie po cierpieniach i zawodach tego żywota. Wielu tego nie chciało dotychczas rozumieć, i w zartwardziałym uporze opierając się Bogu, pędzili za własną wolą na przepaść zguby; ale i oni na sobie doświadczą tego, że i najwynioślejszy człowiek musi tak się ukorzyć, jak Bóg chce, musi uchylić się przed wolą Bożą.

Nieboszczycy w tych słowach wielką znajdowała pociechę, która tyle cierpień jej słodziła, tyle ran jej zagoiła. W końcu wezwał obecnych, aby naśladowali ten przykład cnotliwej nieboszczycy, aby żyli i cierpieli według woli Bożej.

Andrzej był ostatnim, który odszedł od grobu. Długo nad nim klęczał; zdawało się, jakoby cichą z nieboszczycą prowadził rozmowę; w końcu głośnym wybuchnął płaczem.

Łzy — to rosa ożeźwiająca spiekle od cierpień serce, to zaranie poddania się woli Bożej.

Gdy wyszedł z cmentarza, napotkał ośmioletnią Kałubinę.

— Żal mię was Andrzeju, — rzekła drżącym głosem. — Straciliście kobietę, co was tak kochała! Wielki to dla was cios! Trzymajcie się tylko tego, co powiedział ksiądz proboszcz, i zawsze zgadzajcie się z wolą Bożą! Tak, tak, nie wie, co to krzyżyki, kto się umie zdawać na wolą Bożą, — powtarzała odchodząc z wolna ku wsi.

Andrzej nic nie odpowiedział, tylko smutny do wsi powrócił.

V.

CHLEBA NASZEGO POWSZEDNIEGO
DAJ NAM DZISIAJ!

Nadeszły dni krzyżowe.

Wiosna zielonym kobiercem okryła ziemię, ozdobiła łąny kwiatami, a białym i różowym pyłem obsypała drzewa. Pod sklepieniem pogodnego nieba brzmiały śpiewy skowronka, a różnobarwne motylki igrały wśród kwiatów wesoło.

A tam na polach wśród dorastającego żyta i zieleniejącej pszenicy posuwa się długi orszak z krzyżem i chorągwiemi na czele, wśród śpiewu litanii do Wszystkich Świętych — to procesya.

Przodem idzie wesoła dziatwa, głośno wtórując śpiewowi; za nią postępują starsi, powaga na obliczu wskazuje, że wiedzą, o co proszą, zwłaszcza, że spoglądają w prawo i lewo, i czy

tają na swych polach, jaki plon prawdopodobnie uwieńczy ich pracę; pomiędzy nimi postępuje proboszcz za roztargnionemi chłopcami, niosącymi krzyż i dwie latarnie, a grono skupionych niewiast z różańcem w ręku zamyka orszak.

Teraz procesya skręca z polnej dróżki na trakt główny — na przeciwko niej idzie mężczyzna, w towarzystwie wielkiego psa podwórzowego.

To Andrzej Marciniak. On jedyny gospodarz w całej parafii niema czasu do nabożeństwa. Zresztą nie potrzebuje on modlić się o błogosławieństwo Boże i chleb powszedni! Teraz sam dobrze dojrzał gospodarstwa, mierzwy nawiózł dużo, zasiał starannie, a nadto cały plon zabezpieczył w towarzystwie od gradobicia.

Pod takimi warunkami — myślał sobie — byłoby rzeczą zbyteczną modlić się jeszcze o ten chleb powszedni, na który tak uczciwie zapracował i który tak mądrze zabezpieczył.

Zdjawszy kapelusz i trzymając go z boku przed twarzą, stara się jak najspieszniej przemknąć koło modlących się wiernych — czuje on bardzo dobrze, że wszyscy patrzą na niego z oburzeniem, to też niema odwagi spojrzeć na kogookolwiek.

Wreszcie minął procesyą, minął i staruszki

ze szpitala, które powoli za wszystkimi się wlokły.

Teraz odetchnął swobodnie, wsadził kapełusz na bakier i próbuje wesołą zagwizdać piosnkę — ale zdaje się mu, że gardło mu zasnurowane. Zresztą przeszkadzał mu i śpiewlitanii niedalekiej jeszcze procesyi i pienia skowronka.

Wydobył więc fajeczkę, nałożył i zapalił. Przez pewien czas szedł jeszcze traktem nad jeziorem, potem skręcił w prawo, gdzie na błotnistym gruncie karłowate tylko wyrosły brzoski i krzaki. Ziemia tu czarna, poprzerywana rowami i błotami; a nawet uśmiech słonka wiosennego nie zdołał ozdobić i urozmaicić tej smutnej okolicy.

Tam dalej za małym laskiem brzoźowym wznosi się nowy dom mieszkalny. Czerwone cegły murów nie są jeszcze obrzucone wapnem, górna część jeszcze nie dokończona, dach na pół pokryty dachówkami, na pół deskami. Okna brudne, potłuczone i zalepione papierem; przez otwarte drzwi, zbite z surowych niepomalowanych desek, dochodzi wrzask dzieci, krzyk kobiety i raz po raz klątwy grubego męzkiego głosu.

Przed domem leżą na kupie śmieci, próżne sądki od piwa.

Jestto jeden z błogich owoców kultury nowocześniejszej: jedna z licznych karczm i szynkowni które w ostatnich latach powstały, jak grzyby po deszczu, i popierając lenistwo i pijaństwo, przyczyniają się do przepelnienia więzień i szpitalów.

Andrzej wszedł do brudnej izby. Była ona pusta; tylko za stołem chrapał pijany włóczęga, obok niego próżny stał kieliszek.

Niezdolny zaduch zapełniał izbę. Andrzej pobiegł do okna, aby je otworzyć — ale okno wisi tylko na jednej zawiasie i gotowe się oderwać, więc trzeba je znowu zamknąć. Wreszcie Marciniak zniecierpliwiony zagwizdnął.

— Kto tam? — odezwał się głos z kuchni

— Czy gospodarz jest w domu? .

— Jest w stajni.

— Powiedzcie mu że Marciniak przyszedł z interesem.

Po małej chwili usłyszał Andrzej w sieni ciche szepty; niezadługo potem wszedł gospodarz. Młody ten człowiek, nieumyty i niewyczesany, w brudnej koszuli i szarawarach, wstrętne sprawiał wrażenie; twarz nadęta, pokryta

rozczochraną brodą, nosiła widoczne ślady tego zdziczenia, które jest następstwem opilstwa.

Trzymając ręce w kieszeni, stanął przed Andrzejem i spojrzał na niego błędnym wzrokiem.

— Czego chcesz? — zapytał gburowato.

— Moich pieniędzy.

Gospodarz potarł ręką po twarzy.

— Pieniądzy? Ja nie mam pieniędzy. Choćbyś chałupę moją przetrząsnął od góry do dołu, nie znalazłbyś grosza.

— Jakto? — krzyknął Andrzej rozgniewany.

— Oto tak, była szydercza odpowiedź, — tyś to chałupsko sam tak ładajako zbudował, i niedokończone z kilku morgami kiepskiej roli wkręciłeś mi za drogie pieniądze. W mieście dostałem konsens na wyszynk, więc zostałem szynkarzem; ale bez grosza pieniędzy. Piwo war daje mi tylko piwo, gdy mu gotówką zapłacę. Porządny gość zabłąka się do mojej budy chyba raz w miesiąc, a na takich łązęgach jak ten, co tu śpi, niema żadnego zarobku. Gdyby człek nie chodził potajemnie za zwierzyną i nie miał z tego dochodu, toby chyba z żoną i dziećmi z głodu umarł.

Andrzej gniewnie usiadł na stołku.

— Niech was wszystkich jaśnieście pioruny

— ! — zaklął w najwyższej złości. — Żaden z tych, co tak łatwym sposobem grunta odemnie nabyli, nie płaci swego czynszu; każdy powiada że nic nie ma i wyżyć zaledwie może, że gdyby sam nie kradł, a dzieci nie wysłał na żebranie, tobym zostawić musiał grunt i chałupę i pójść w świat daleki. Ale jeżeli mnie nikt nie zapłaci, to mnie nic innego nie pozostanie, jak albo każdemu przysłać na kark egzekucyą, albo też samemu pójść z torbami.

— Do mnie, — szydził gospodarz, — możesz egzekucyą przysłać każdej chwili. Mnie to nic nie zaszkodzi, jeżeli mnie z domu wypędzisz. Dzieci moje będzie musiała żywić gmina, a ja z żoną obierzym najłatwiejszy proceder: żebractwo, które się dobrze opłaca, bo człek przytem nieraz co znajdzie, czego nie zgubili.

— A mnie zamiast pieniędzy pozostanie to chałupsko? — mruknął Andrzej.

— Jeżeli mnie ona musiała wystarczyć, niech i tobie wystarczy, — odparł gospodarz, wzruszając ramionami. — Teraz wiesz czego się trzymać i możesz robić co ci się podoba!

Ze spuszczoną głową wracał Andrzej do domu. Teraz nie tylko wiedział, do czego doszedł ze swymi dłużnikami, przez wyzyskanie których własnej chciał zapobiedz ruinie, ale wi-

dział też jasno, że nieszczęścia, jakie mu grozi w razie niemożności płacenia procentów, odwrócić nie zdoła, że nie ma dla niego ratunku.

Złamany i znękany na ciele i duszy usiadł w rowie przy drodze. Jakoby srebro lśniły w rowie oczach lekkie fale jeziora; ze świeżej zieleni uśmiechały się do niego złote kwiateczki; cała przyroda gorącem tryskała życiem — tylko Andrzej tego nie odczuł; cała ta piękność wiosennej przyrody wydawała się jemu jakosen zwodniczy, po którym czeka go straszliwe przebudzenie.

I słusznie! Co tak pięknie dojrzewało w polu, miało komu innemu przypaść w zysku.

We wsi dzwoniło na Anioł Pański. Milmowoli wspomniał na to, jakto w każdym domu wielki i mały zasiada do stołu, modląc się poprzednio: „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj!” Ale zamiast się poruszyć, napętniło się zatwardziałe jego serce większą jeszcze goryczą.

— Niezadługo nie będzie co włożyć w usta! — mruknął i szedł przez wieś, nie patrząc na nikogo do swego domu.

O czem już od wielu tygodni opowiadano sobie i szeptano do ucha, to sprawdziło się niezadługo. Andrzej nie mógł żydowi, który za

owym agentem był ukryty, zapłacić ani procentów, ani kapitału; agent coraz mocniej przyciągał stryczek u szyi swej ofiary, wreszcie podano gospodarstwo na subhastę i przybito je za niską cenę żydowi, a Andrzej wyszedł jako żebrak z domu ojcowskiego i ze wsi rodzinnej.

Była już noc, a gwiazdki, jakby oczęta tysięcy aniołków spoglądały na ziemię, gdy Andrzej, któremu nic nie pozostało, prócz dwustu-kilkudziesięciu talarów, cichaczem ze wsi się wynosił.

Wstrzymał się za wsią przez chwilę.

Tam naprzeciwno był cmentarz i grób żony i dziecka! Serce go ciągnęło, aby pożegnać tę ostatnią glebę ziemi, której mu żyd nie mógł zabrać, i która kryła najdroższe sercu jego istoty.

Wstrzymała go jednakże złość i gniew wściekły.

— Wszystko, wszystko mi zabrali! — szepnął sam do siebie; — ten u góry zabrał mi żonę i dziecko, lichwiarz zabrał gospodarstwo — idź teraz, idź Andrzej, będziesz żebrakiem bez nadziei, bez pociechy! Na co ci się przyda, że pójdziesz do grobu? Umarli ci tak samo nie pomogą, jak żywi! Idź, idź w świat,

Andrzeju! Idź tam dotąd, gdzie nikt cię nie zna — będziesz włóczęgą, jak tysiące innych, których lichwa zrujnowała! Tak, będę włóczęgą!

VI.

ODPUŚĆ NAM NASZE WINY, JAKO I MY
ODPUSZCZAMY NASZYM
WINOWAJCOM.

We więzieniu siedzi człowiek o dzikim wejrzeniu. Szpakowate włosy głowy krótko przystrzyżone, broda w nieładzie twarz zarasta; wzrok ponury podnosi dzikość twarzy. Ubiór na nim więzienny, z grubego uszyty płótna.

Na kamiennej posadzce dzbanek stoi z wodą; przez małe zakratowane okienko słabe światło dnia pochmurnego wchodzi do celi.

— Do domu karnego! — mruknął więzień, kryjąc twarz w dłoń.

— Czy może płacze?

Nie! Oczy jego, suche, a usta miotają klątwy i bluźnierstwa.

— Do domu karnego! woła znowu, ale teraz tak głośno, że głos jego przeraźliwie odbija

się o mury więzienne. — Andrzej, dotrzymałeś słowa: zostałeś włóczęgą i w krótkim czasie doszedłeś do celu!

Zamyślił się, spoglądając na zachmurzone niebo — tak pochmurno było w jego duszy.

Ostatni to dzień spędzał we więzieniu, które od jutra na pokutę w domu karnym miał zamienić.

Gdy Andrzej nocą wyszedł był ze wsi, błąkał się długo nad brzegiem jeziora. Zaszedłszy do lasu, położył się na miękkim mchu i w niespokojnym śnie spędził resztę nocy. Z rana wstał i poszedł do miasta, dokąd dawniej w dniach szczęścia tak pysznie jeździł, a gdzie przez owęgo agenta wpadł w ręce lichwiarza.

Ponieważ to jeszcze rychło było z rana, dla tego wstąpił do szynkowni na przedmieściu. Aby zalać robaka w sumieniu i zgryzoty wewnętrzne, wypił kilka kieliszków tego napoju, o którym słusznie powiedzieć można, że to wynalazek szatana, aby ludzi tłumami zapędzić na zatracenie.

Z rozgorączkowaną głową opuścił po kilku godzinach szynkownię i udał się do miasta. Na ulicy spotkał owego sędziego, który mu przepowiedział, że skoro się oddał w ręce takiego lichwiarza, musi zmarnieć.

— No, Marciniaku, jakże się miewacie? — zapytał sędziego.

Marciniak rozśmiał się dziko.

— Dobrze, panie sędzio, dobrze, — że jeno się powiesić! Z gospodarstwem się skończyło, bo to żyd już ma w kieszeni, pozostał tylko włóczęga, a tym ja jestem.

Sędzia patrzył na pół z politowaniem, na pół z wstrętem na opilca.

— Żal mi cię serdecznie, — rzekł z współczuciem; — ale byłoby bardzo niesłusznie, gdybyś chciał teraz przestać być uczciwym człowiekiem. Jesteś jeszcze młodym i silnym — możesz więc pracować. Człowiek i w nieszczęściu nie powinien zbaczać z prawej drogi. Nie możesz pracować jako gospodarz, pracuj jako wyrobnik, a będziesz mieć kawałek chleba zarobiony uczciwą pracą.

Andrzej potrząsał głową.

— Pracować mam jako wyrobnik? Nie, tego nie zrobię! Nie mogłem się niczego dorobić na wielkiem gospodarstwie, nie dorobię się też niczego jako wyrobnik. Co do pracowania w ogóle, to jeszcze się namyślę. Mnie się zdaje, że najlepiej będzie wałęsać się po świecie, jak Marek po piekle i patrzeć gdzie

się kurzy z komina. Żebractwo to też intratny proceder, a nie sprawia wielkiej fatygi.

Rozłączywszy się z sędzią poszedł Andrzej do restauracyi. Tam usiadł i pił dzień cały i opowiadał każdemu, który zasiadł do stołu, że był kiedyś bogatym gospodarzem, tak szanowanym i znacnym, że sam król byłby przed nim zdjął kapelusz. Teraz zaś stracił wszystko, z gospodarstwa wyszedł z torbami, a wszystkiemu winien agent i żyd jego.

W końcu zasnął oparty na stole.

Gdy nadszedł wieczór, zebrali się zwykli goście, pomiędzy nimi i agent.

Śpiący chrapiący wieśniak zawadzał im bardzo, więc gospodarz go zbudził, aby sobie poszedł. Andrzej wstał, zapłacił co był winien, i miał już wyjść, gdy przypadkowo ujrzał agenta.

Stanął jak wryty. Oko zwrócone miał na przeciwnika, a nienawiść piekielna przebijala się w tem spojrzeniu.

Zwolna zbliżył się do niego i rękę tak silnie złożył na jego ramieniu, że ten przestraszony się obrócił.

— Znasz mię jeszcze lichwiarzu? — krzyknął przeraźliwie.

— A tak, tak! — odrzekł agent we febrycznym niepokoju. — Ale czego chcesz odemnie?

My nic nie mamy ze sobą, więc daj mi święty spokój!

— To krótka odprawa, — szydził Andrzej.

— Muszę ja tym panom, którzy z tym — człowiekiem siedzą przy jednym stole, poprzednio opowiedzieć historyą.

Stanął przy stole i założył ręce.

— Było to może przed dwoma laty, kiedy jako gospodarz bogaty, właściciel folwarku, siedziałem tu w tej restauracyi. Potrzebowałem pieniędzy bo piorun dom mi zniszczył. Wtenczas to ten — człowiek począł się lasić i przylizywać, i wcyganił mi pieniądze za czterdzieści i ośm procent! Teraz gospodarstwo moje zabrał mi żyd, który z tym — człowiekiem miał spółkę, a ja, dawniejszy gospodarz, zostałem żebrakiem! To wszystko dzieło tego lichwiarza!

Agent powstał spiesźnie.

— Ruszaj sobie! — krzyknął gwałtownie. — Cośmy ze sobą mieli, był interes, jaki robią ty-siące. Jeżeliś głupi, to twoja wina, ty....

— Dokończ? — zawolał Andrzej, przystępując bliżej. — Chciałeś mię uczcić tytułem — nie bój się; ja cię też nazywam po imieniu lichwiarzem i cyganem!

Teraz agentowi zabrakło cierpliwości.

— Dobrze, jeżeliś ciekawy, to ci powiem:

jesteś włóczęgą, więc sobie ruszaj, bo inaczej postaram się, aby cię wyrzucono!

Andrzej przez chwilę stał jak skamieniały.

Naraz nóż wyrwał z kieszeni — zabłysło w powietrzu, a agent krwią zabroczony powalił się na ziemię.

— Nazwałś mię włóczęgą, — syknął Andrzej, jakoby w obłąkaniu. Każdy na całym świecie miał prawo do tego, tylko nie ty!

Obejrzał się po stancyi.

— Jakto? — Nie ma żandarma, któryby mię do kozy zaprowadził? Czego się gąpicie panowie? Sprowadźcie policyanta, ja się nie będę opierać!

Nachylił się do zranionego.

— Umrzeć nie masz! — szepnął mu do ucha, — ale masz się poprawić, ty pijawko!

NIE WODŹ NAS NA POKUSZENIE.

Było to życie w domu karnym okropne! Dni przykre, pełne cierpień, niedoli i zgryzot schodziły leniwie. Wszystko, wszystko okropne było Andrzejowi, ale najokropniejszymi byli dla niego ludzie, z którymi musiał przestawać, a którzy napiętnowani byli najszkaradniejszymi zbrodniami i występkami.

Teraz i to zrozumiał, jaką to brzydota jest zły człowiek, że niema nic brzydszego na świecie.

Ze wstrętem odwracał się od tych, którzy wśród śmiechu wyliczali wszystkie brudy swego życia, i którzy najwięcej byli zepsutymi.

Nie — tak złym Andrzej jeszcze nie był!

A ta myśl nietylko pociechą była dla straconej jego duszy, ale też budziła w nim pragnienie zostania znowu dobrym i uczciwym człowiekiem.

W chwilach takiego usposobienia cofnął się myślą wstecz aż do czystych, złotych dni pier-

wszej młodości niezaćmionych jeszcze brudem grzechowym.

Później niestety wszystko się zmieniło.

Pycha i zarozumiałość opanowały serce jego; anioł pokoju go opuścił. Był czas, w którym stawał się przeciwnikiem każdego, nawet samego Boga, w trzos swój dufając.

Z początku modlitwa jego stawała się oschłą, potem zupełnie przestał się modlić; co więcej, nienawidził modlitwy, i podczas gdy drudzy w czasie nabożeństwa klękali i korzyli się przed Panem Bogiem, on chodził po polach i obliczał zyski jakie mu przyniosą.

Smierć żony i dziecka serce mu rozdarła; ale rana serca nie zagoiła się kornem poddaniem się woli Bożej, lecz zaschła i zasklepiała się w gniewnym uporze.

A ten upór, który go od Boga oderwał i chciwości uczynił sługą, był przyczyną jego nieszczęścia i zguby.

Gdy w więzieniu w niedziele i święta, w owej gołej kaplicy pod strażą dozorców był obecnym na mszy św., wtenczas mróz przeszywał mu serce i z tęsknotą wspominał miły swój i piękny kościółek wiejski, w którym jako dziecko tak chętnie się modlił i tak był szczęśliwym.

Coby teraz był dał za to, gdyby chociaż

chwil kilka mógł klęczeć w tym kościółku; a chociażby ani jedna modlitwa nie była mu z ust i serca wypłynęła, już same obrazy: krzyż we wielkim ołtarzu i obrazy Matki Boskiej Częstochowskiej, wlałyby osłodę do zakrwawionego jego serca.

Nie zawsze jednakże był w usposobieniu tak miękkim i pojednawczem. Bardzo często odzywała się w nim stara złość przeciwko Bogu i ludziom; nie modlił się, tylko zasępiony spoglądał przed siebie, zagniewany na Boga i wszystko, na czem świat stoi.

Wreszcie wybiła dla niego godzina wolności.

Z dobrymi świadectwami i zaoszczędzonym z pracy jego groszem wypuszczono go z domu karnego.

Nogi drżały pod nim, gdy pierwszy raz ujrzał się na wolności, w oczach mu się ćmiło.

Był wolnym ale nie bardzo się z tego radował. Niemiał rodziny; niemiał domu, a na czole wyryte miał piętno zbrodniarza!

Szedł zwolna naprzód, coraz większe czuł znużenie, aż wieczor nadszedł i nogi wypowiedziały mu posłuszeństwo.

Usiadł pod drzewem i zamyślony spojrzął w dal. Tam ujrzał w mgle wieczornej te góry

otaczające jezioro, nad którym leżała wioska jego rodzinna.

Tęsknota niewypowiedziana zagrała w jego sercu — do domu, do domu! tak wewnętrznie wołało pragnienie.

Przyszędł wreszcie po długiej wędrówce „do domu:” ale jakże tam smutnie wyglądało!

Jedni udawali że go nie znają, inni patrzeli na niego, zatrząsali i wytykali mu dawniejsze występki.

Spodziewał się tego, że go znajomi przyjmą zimno i bez serca; był na to przygotowanym i uzbroił się w męstwo i cierpliwość; ale mimo to krew się w nim wzburzyła i gniew rumieńcem mu oblał oblicze, gdy widział, że sobie z nim postępują jak z wyrzutkiem społeczeństwa.

Wyszędł ze wsi, poszedł na cmentarz i usiadł przy grobie żony.

Krzyż drewniany mocno się pochylił, napis na nim zatarł się już prawie zupełnie, grób zapadł i gęsto zarósł zielskiem.

— Ciekawy jestem, — szepnął sobie, opierając rozgorączkowaną głowę na dłoni, — czy byś ty tam pod ziemią odepchnęła mię od siebie, gdybyś jeszcze żyła, a jabym z domu karnego do ciebie powrócił? Myślę, że nie!

Zawsze w życiu byłaś tak cierpliwą, tak do-

brą dla mnie, nigdy złego słowa mi nie dałaś, nawet wtenczas nie, gdym dla ciebie był szorstki i gwałtowny! Gdybyś ty mi nie była umarła, możeby dziś wszystko było inaczej, możeby lepiej było zemną!

Oparł głowę o krzyż i zasnął.

Wtem ujrzał we śnie, że nieboszczyca żona wyszła z grobu i usiadła przy nim.

— ...Wszystko znowu będzie dobrze, mężu kochany, ale musisz koniecznie się modlić!... Nie powinieneś być nigdy zapominać o modlitwie i zaniedbywać jej... To wszystko złe na ciebie sprowadziło!... Musisz znowu pojednać się z Bogiem... i z ludźmi także... i własnemu sercu pokój przywrócić!... Wszakże ja modłę się za ciebie... i dziecko twoje, ten aniołek, też się modli za ciebie!... Nie rozpaczaj, wszystko będzie dobrze!...

Obudził się.

Poczuł, że ktoś rękę mu złożył na głowie.

Przed nim stał pleban.

Przelekniony i z niechęcią nawet spojrzął Andrzej na niego. Był przekonany, że z jego ust właśnie najsurowsze i najboleśniejsze uszy-szy zarzuty.

Omylił się jednakże.

Z ujmującą serdecznością podał mu pleban

rękę; z oblicza jego tchnęła łagodność i dobroć.

— Nie możesz zapomnieć twej poczciwej nieboszczki żony. — rzekł dobrotliwie; — to pięknie, bardzo pięknie, mój Andrzeju!

Andrzej potrząsł głową.

— Nie, księżę proboszczu, w tem nic nie ma dobrego. Jegomość przecież wie, że przychodzę z domu karnego; żywi odepchnęli mię od siebie z pogardą i szyderstwem, uciekłem się więc do umarłych!

Pleban spojrział smutno.

A więc tak pojmowali w parafii jego miłość bliźniego, — nawet ci, którzy się do po-
bożniejszych zaliczali! To szczerze bolało gorliwego pasterza.

— I cóż teraz, mój przyjacielu, zamysłasz począć? — zapytał.

Andrzej wzdrygnął ramionami.

— Miałem nadzieję, że służąc jako parobek we wsi mej rodzinnej, będę sobie mógł zapracować na uczciwy kawałek chleba, ale „zbrodniarza” nikt nie chce przyjąć, każdy nim pogardza! Pójdę więc we świat; gdzieś przecież spojrzą na mnie z litością i nie odepchną mię od siebie, tam gdzie miłość bliźniego jeszcze nie wygasła!

Pleban uchwycił rozgorączkowanego za rękę.

— Chodź ze mną! — rzekł przyjaźnie, ale z taką stanowczością, że Andrzej nie śmiał się opierać.

Wieśniacy patrzeli z zadziwieniem, widząc obydwóch, idących pospołem; więcej jeszcze zadziwiły się kobiety, którym nawet z podziwu języki na kilka chwil się zatrzymały i zamilkły.

Wieczorem siedział znowu pleban z Andrzejem w tym samym pokoju i przy tym samym stole jak w ówczas, gdy Andrzej pomoc plebana tak gburowato odepchnął od siebie.

Kapłan przemawiał tak łagodnie, nie dotykając stron drażliwych, że się Marciniak rozrzewnił. O wszystkim była mowa, tylko nie o domu karnym, ani też o zbrodni, do której go popchnęło pijaństwo i mściwe usposobienie.

W ten sposób zjednał sobie pleban zupełnie biedaka, dla którego nikt nie miał przychylnego i pocieszającego słówka.

— No, jakże myślisz, Andrzeju, — odezwał się znowu pleban weselo, — gdybyśmy dziś zrobili ten interes, który nam się wtenczas nie udał? Pieniądze, któremi tak nierozsądnie wzgardziłeś leżą jeszcze zachowane. Miałem za-

wsze jakieś przecucie, że one właśnie dla ciebie przeznaczone.

— Księżę proboszczu, — uśmiechnął się Andrzej boleśnie, — włóczędze, który nic nie ma i niczem nie jest, nie pożyczają się pieniędzy.

Pleban spojrzał niechętnie.

— Niesłusznie mówisz, mój bracie! Tyś nie jest włóczęgą, a jeżeli ci ofiaruję pieniądze, to na to, abyś sobie znowu założył ognisko domowe, i abyś poznał, że człowiek pracą i modlitwą szczęście sobie na ziemi już stworzyć może.

To mówiąc wy dobył paczkę listów zastawnych.

— Oto masz tu pieniądze; jutro pojedę do miasta i zmienię je. Ty zaś zadzierżawisz torfisko na hubach, i podejmiesz się dostarczenia torfu dla fabryki, która tam już jest na ukończeniu. Najmiesz uczciwych robotników, sam też porządnie weźmiesz się do pracy, a fabryka dobrze będzie ci płacić, i to gotówką. Przy twoim zdrowym rozsądkiem możesz wnet dojść do czego, tylko mi o modlitwie nie zapominaj! Abyś zaś nie mówił, że z łaski cudzej żyjesz i dorabiasz się, będziesz mi od pożyczonych pieniędzy płacił prowizją i to dwa od sta. Ale, — do-

dał, grożąc mu palcem, — żebyś mi co niedzielę i święto był w kościele!

— — — — Andrzej zabrał się do pracy. O mil kilka poszukał sobie po wsiach dobrych i uczciwych robotników, bo z bliska nikt do niego nie chciał przystać, i z nimi codziennie od trzeciej z rana aż do zachodu słońca rączo pracował. Do wsi nie przychodził, jedynie tylko w niedzielę do kościoła, i trzeba mu przyznać, że chodził regularnie, ale — modlić się nie mógł — serce nie czuło co usta mówiły.

W jesieni zebrał już piękną sumkę. Pieniądze zanosił do proboszcza na schowanie, a ten za nie kupował papiery, bo kasy oszczędności w mieście nie było, i procenta płacił punktualnie i z pewną dumą.

Tak upłynęło lat kilka. Andrzej był zawsze zarówno pilny i trzeźwy, a pieniądze jego rosły, chociaż sam nie wiedział, ile właściwie już zaoszczędził.

Raz jeden jeszcze przystąpił do niego kusiiciel.

Jeden z robotników z miasta namawiał go, aby grał w loteryę, bo znajomy jego wygrał właśnie dwa tysiące talarów. Zapłacić kilkanaście złotych za udział w losie, to fraszka, a za to zysk nielada, gdy się posypią tysiąccki —

ktoś przecie wygrać musi! Pokusa ta była za- nadto ponętna.

Poszedł do proboszcza i poprosił o pienią- dze, powiadając otwarcie, na co ich chce użyć. Proboszcz potrząsł głową.

— Ani fenyga! — rzekł stanowczo. Gracz jest człowiekiem nieszczęśliwym, a potem staje się złym. Niech ci to wystarczy, na co zapra- cujesz i na czem spoczywa błogosławieństwo Bo- skie. Gdybyś wygrał, natenczas nie miałbyś z tego moralnej korzyści; bo zysk z loteryi jest zyskiem niezarobionym; zresztą zwykle tak by- wa: jak kto łatwo zyska, tak też łatwo straci. Mało jednakże jest tych, którzy wygrywają, więc jeźelibyś nie wygrał, co jest prawdopodobniej- sze, natenczas byś się roznamiętnił, stracił chęć do pracy, i mógłbyś z chciwości zostać łotrem.

VIII.

ALE NAS ZBAW ODEZŁEGO. AMEN.

Było to w początku września.

Dziesięć lat minęło od czasu, gdy Andrzej powrócił z domu karnego. Przez ten czas wiele się zatarło. Zapomniano o jego przeszłości i na- wet polubiono ogólnie cichego starca, który skrzętnie pracował i życie wiódł bez przygany, tak że nawet najjadowitszy język babski nic na niego nie mógł powiedzieć. Polubiono go też dla dobrego jego serca, gdy pierwsze zaoszczęd- dzone pieniądze obrócił na sprawienie nowego krzyża na grobie żony i na utrzymanie i pielę- gnowanie grobu. Chodził też pilnie do kościoła.

Wiedzieli to ludzie bardzo dobrze, że gdy jeszcze był gospodarzem, przez cały rok nie pokazywał się w kościele, że pacierza nie mó- wil, że nawet publicznie drwił z modlitwy, a te- raz tak się zmienił.

Był pracowity i trzeźwy. W dni powsze-

dnie niezmordowany był w pracy, w niedzielę zaś nie tknął roboty. Nie chodził też do karczmy. Stracony to czas, mawiał zawsze, który się spędza w karczmie za stołem, i niejeden człowiek chociaż trzeźwy, więcej byłby wart w oczach Boga, gdyby wcale karczmy nie znał.

Tak żył przez te lat dziesięć, i wszystko byłoby dobrze, gdyby tylko na jedno się był mógł zdobyć: na szczerą i serdeczną modlitwę. Chciał się biedak modlić, ale nie zdołał. Czuł posuchę i czczość w sercu, i w żaden sposób ożywić tego serca nie mógł.

To go bolało, to mu sprawiało niewypowiedzianą gorycz, bo czuł dobrze, że ta czczość duszy słuszną jest karą od Boga za to, że gdy w onczas piorun spalił mu budynki, on przysiągł że nigdy już modlitwa nie postanie mu na ustach.

Teraz gdy znowu chciał się modlić, nie dał mu Pan Bóg łaski do tego. Ślęczał nad różańcem, nad książką do nabożeństwa, ale wszystko daremnie; zdawało się mu, że sieje pszenicę na opokę.

To sprawiło, że się stawał coraz smutniejszym.

Wtem znikł naraz Andrzej i nikt nie wiedział, gdzie się podział. Rozmaicie ludzie o tem

gadali, rozmaite szerzyli domysły; niektórzy nawet coś złego przypuszczali. Jeden najwięcej bolał nad tem zniknięciem Andrzeja, a tym był proboszcz.

Wreszcie po dwóch tygodniach zjawił się znowu Andrzej we wsi; wszedł zwolna przez wieś, nie zważając na ciekawe spojrzenie mężczyzn i kobiet, a wszedł prosto na probostwo.

— Jegomość, — rzekł do księdza, teraz wszystko się naprawiło, jak mi nieboszczyca żona we śnie przepowiedziała. Teraz znowu modliłem się tak szczerze i serdecznie, jak za dni pierwszej mej młodości. Tego tylko mi jeszcze było potrzeba do zupełnego spokoju duszy. Był czas, gdyem się z tego wyśmiewał, ale ostatecznie nędza mej duszy kamieniem ciężyla mi na sercu. Niewiedziałem sobie rady. Wreszcie zerwałem się w nocy i boso poszedłem do Częstochowy. Jegomość wie, że to potężny kawał drogi i nogi miałem skrwawione i pokaleczone, gdym doszedł do celu; ale na to wszystko nie zważałem. Pod wieczór przyszedłem do kościoła. Ukląknęłam w kąciku i złożyłem ręce; było mi jak gdyby nieboszczyca była przy mnie i dodawała mi pociechy. Modlić się jeszcze nie mogłem; ale już mi coraz lżej było na sercu, jak choremu, który po długiej niemocy zaczyna

przychodzić do zdrowia. Ludzie tymczasem wyszli z kościoła, a ja oparty o filar usnąłem znurony. Przebudziłem się, gdy już nikogo nie było w kościele, a kościół zamknięto, zapomniawszy o mnie w kąciuku; promień jasny księżyca padał na ołtarz — usnąłem powtórnie i śniło mi się, że po tym promieniu schodzi nieboszczyca do mnie z nieba. Położyła mi rękę na sercu; nic nie mówiła, ale patrzyła na mnie tak miło i słodko jak jeszcze nigdy. Z rana przebudziłem się, gdy jeszcze nikogo nie było w kościele. Z razu nie miałem odwagi wnieść oczu i leżałem krzyżem na ziemi, ale gdy ludzie się zebrali, wyszła pierwsza msza św., i cudowny obraz odsłonięto, wtenczas wyrwało mi się z serca.

— Pomnij o najdobrotliwsza Panno Maryo, i łzy potoczyły się strumieniem, i mogłem się modlić i byłem szczęśliwy.

Zamilkł na chwilę i otarł łzy z oczu.

— Od tej chwili, — rzekł zamyślony, — palec łaski Boskiej poruszył me serce. Modliłem się i nie mogłem skończyć — ach, jakie to szczęście! Bógu niech będą za to dzięki!

— — — — —
Tu przy jeziorze mały stoi domoczek biały

schludny; okiennice ma zielone, a na każdym oknie różnobarwne w doniczkach kwitną kwiaty. Dom otoczony jest pięknym ogródkiem, w którym lewkonie i rezedy miłą w koło szeregają woń.

Taka tu miła panuje cisza, że widocznie błogosławieństwo Boże spoczywa na tym domku.

Tu w samotności mieszka „stary ojciec,” jak we wsi Andrzeja Marciniaka nazwali.

Zawsze uprzejmy i miły, dla każdego grzeszny, pozyskał sobie ogólny szacunek. Twarz jego pogodna świadczy o spokoju wewnętrznym — codziennie chodzi na cmentarz, by pomodlić się na grobie żony, codziennie chodzi do kościoła, z różańcem w wątłej dłoni.

Nie lubi wiele mówić. Tylko wieczorami, gdy słońce zachodnie niebo złotą powlecze purpurą, a fale jeziora zdawają się usypiać, zbiegają się dzieci ze wsi do „starego ojca.”

Wtenczas zasiada on pod jabłonią, a dzieci naokoło niego się tulą. On ich uczy modlitwy.

Postawił sobie to zadanie przy schyłku życia, aby młodociane serca prowadzić do Boga.

I wiele tem zdziałał dobrego, czego nie dostreżele wprawdzie oko ludzkie, ale widzi oko Boże.

Umarł w podeszłym wieku.

Wszyscy nad jego grobem zapłakali mianowicie zaś dzieci. „Starego ojca” wspominają i błogosławią we wsi do dnia dzisiejszego.

(Koniec.)





8711